V B J C
C. K. BIBLIOTHECA UNIVERS. JAGELL. CRACOVIENSIS
26084
Mag. St. Dr. P

V
B J
C
26084
I

SOLENNIZANT,

KOMEDYA

W TRZECH AKTACH

przez

MICHAŁA MOWINSKIEGO.



w Warszawie 1780.

Nakładem y Drukiem MICHAŁA GRÖLLA,
Księgarza Nadwornego J. K. Mci.

OSOBY REPREZENTUIĄCE.

STARUSZKIEWICZ, Stryi Leandra.
LEANDER.
Pan CZEŚNIK.
Pani CZESNIKOWA.
Pan SKARBNIK.
Pani SKARBNIKOWA.
Pan PODWOIEWODZY.
Pani PODWOIEWODZINA.
Pan POGROMSKI, Towarzysz.
DUMSKI, Marszałek Dworu Leandra.
TARABANSKI, Kapitan.
WYTRZĄSALSKI, Podskarbi.
SZŁAPACZYNSKI, Koniuszy.
KONCEPTOWICZ, Sekretarz.
PUZAN, Kapelmayster.
GIERWAZIEWICZ, -) Pokoiowi.
PROTAZINSKI, - -)
BARTŁOMIEY, Szafarz.

Scena w Domu Leandra.

26084. I.
C. R. BIBLIOTHECA UNIV. IAGELL. CRACOVIENSIS

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

BARTŁOMIEY *sam.*

Dobrze się stało, że naszego Panicza, Pan Cześnik na obiad do siebie zaprosił: — ale cożpotym kiedy go znowu zbałamucił Pan Marszałek, — nie day się WćPan w wspaniałości przewyższyć— Pan Cześnik daie obiad, day Wć Pan wieczerzą— Bal, Feierwerk, illuminacyą. Pan na to: bardzo dobrze: wołaycie Bartłomieia.— Przychodzę. Bartłomieiu! niech dziś będzie wieczerza, bal, feierwerk, illuminacya. — Ja: — Ale Mości Do-

brodzieiu! — nie dał mi domowić, y z izby wyſzedł. A tu pieniędzy nie maſz, żyd za kwitkami iuż poł tora roka arędy zapłacił; ia nie mam nic przy ſobie, a choćbym miał, nie dam. Oy nie dam — y puł ſzeląga! Coż to za bieda z temi młodemi Panami! — iakie to marnotrawſtwo! Miły Boże! coby na to mowił niebożczyk Jegomość! On co tylko w Niedzielę, y to nie zawzdy, kawał, y to nie wielki ſztuki mięſa miał na ſtole. O kapłunach ani pytay, kurka chyba w ten czas, kiedyśmy ſię bali, żeby nie zeſłabła, a nie było można przedać. kaſzą kluſeczkami, dorobiliśmy ſię chleba. Nie wiele ſię iadło, nie wiele ſię piło. Ale też za to co kontrakty była wieś, albo ſumma na prowizyą po dzieſięć od ſta. Pieniędzy huk, zboża pełno, bydła doſtatkiem. A teraz co? — w Pokoiach Adamaſzek, a w ſtodole puſtki; w lamuſie pſiar-

nia — wołyśmy ziedli, krowy przedali. — Mamy za to dwie furmanki y foryſiow po angielſku. Dobrze, Panenku! dobrze: — wyiedziemy my z domu temi furmankami, a podobno bez powrotu. Ja nie wiem, gdzie te furmanki powiozą — a wreſzczie co mi do tego! niech hula — niech traci — iam ſobie ſwoią ſumkę na kahale ulokował; — będzie czym żyć na ſtarość, y może ſię ieſzcze co z prowizyi okroi: niechciał mnie ſłuchać, niechże ſobie lepſzego ſzuka — Mowiłem, perſwadowałem, proſiłem; — darmo. Coż ia mam daley czynić? — porzucę wſzyſtko: — niech czyni co chce, — tak ieſt — porzucę.

Ale mi go iednakowo żal. Przecież to Pańſka krew: dorobiłem ſię przy oycu kawałka chleba, nie godzi ſię ſyna porzucać. — Ale na coż ia ſię zdam, kiedy mnie nie ſłucha? — Prawda. — Ale kto wie — może kiedy y

ufłucha, może się upamięta. Stryi też ma przyiechać; — poczekam ieszcze — niechno ftryi przyiedzie. —

SCENA II.

MARSZAŁEK, BARTŁOMIEY.

MARSZAŁEK.

Coż to waść fam do fiebie gadafz?

BARTŁOMIEY.

Sam do fiebie; bo mnie nikt flu-chać nie chce. —

MARSZAŁEK.

Bo może nie mafz co fluchać.

BARTŁOMIEY.

Tym, ktorym to ftuchanie nie miłe.

MARSZAŁEK.

Waść, widzę, cos nadto przebąkuiefz — znay fię Wafzeć na fobie, czyń coś powinien — a pamiętay, iż nie przyftoi fzafarzowi być kaznodzieią.

BARTŁOMIEY.

Wielu nie przyftoi być tym, czym fą — Tak to teraz świat idzie. Ale nie chcę iuż więcey mowić, żebyś mnie WaćPan znowu kaznodzieią nie nazwał.

MARSZAŁEK.

Słyfzałeś Waść, Panie Bartłomieiu! co Jegomość rozkazał?

BARTŁOMIEY.

Tadzem flyfzał. —

MARSZAŁEK.

Trzeba tedy, żeby wieczerza była futa, ftoł Pańfki na ofob dwadzieścia, Marfzałkowfki na ofob trzydzieści — oprocz tego dla gościnney czeladzi ftoł u wafzeci.

BARTŁOMIEY.

Dwadzieścia ofob u Pana, trzydzieści u WaćPana, u mnie może pięćdziefiąt: Będzie tedy dziś na wieczerzą

osob dwadzieścia a trzydzieści, pięćdziesiąt, a piędziesiąt, sto. Na to wszystko ani Woła, ani Krowy, ani Jendyka, ani Gęsi, ani Kaczki — ani nawet chleba nie masz.

MARSZAŁEK.

A mnie co do tego? —

BARTŁOMIEY.

Kazał Jegomość dać illuminacyą, a tu nie masz, ani wosku, ani łoiu, ani oliwy — lamp iuż y Xiędzu Plebanowi nie stało, bośmy ie wytłukli.

MARSZAŁEK.

A mnie co do tego?

BARTŁOMIEY.

Nad to, kazał Jegomość dać bal. Pan Kapelmayster grać nie chce, bo niepłatny od puł roka — Trębacz, od ustawicznego grania, chory na dychawicę. Pan Pogromski z Panem Ko-

niuszym ostatnią razą potłukli sobie flety na łbach.

MARSZAŁEK.

Jużem Waszeci powiedział, że mnie nic do tego; dość że Pan chce, y musi tak być, iak Pan chce. Rozumiesz waść Panie Bartłomieiu? (*odchodzi*)

SCENA III.

BARTŁOMIEY *sam.*

Rozumiesz Waść, Panie Bartłomieiu! — Piękna dyspozycya! Ja mu przekładam czego potrzeba, a on: a mnie co do tego? — Pan chce, Pan każe. Niechże Pan płaci. Ja cudow nie będę robił. Kiedy z Jegomością do stołu, kiedy do flaszki, ani się można na ten czas przez Panow urzędnikow przecisnąć; — a kiedy trzeba Panu dopomodz, — to wszystek ciężar na Bartłomieia. — A iużem też y stary:

godziłoby ſię pofolgować ſtaremu ſłudze. Ale czy myślą o tym naſi Panowie? — Oy nie, — trzeba ſię będzie iednakowo zakrzątnąć; — ale też to iuż oſtatni raz. Jegomość, widzę, powraca — co za aſſyſtencya! —

SCENA IV.

LEANDER, MARSZAŁEK.

MARSZAŁEK.

Szkoda mowić pięknie, Pan Cześnik Panu applaudował — nieżal mu będzie odwdzięczyć — tak — iak to Pan umie.

LEANDER.

Ale podobno coś mi chciał mowić ſzafarz. Zmiłuy ſię Waść, — żeby on ſwoim ſkępſtwem ochoty nam y balu nie popſuł.

MARSZAŁEK.

Niech ſię tylko Pan na mnie ſpuści,

a temu ſtaremu baiarzowi nie wierzy, upewniam, że będzie wſzyſtko z honorem. Ale niech Pan każe przywołać Ichmościow urzędnikow Dworſkich y każdemu przynależyte czyni dyſpozycye — ia tym czaſem poydę wſzyſtko przygotować, co ſię moiey funkcyi tyczę. (*odchodzi*)

LEANDER.

Gierwaziewicz!

SCENA V.

LEANDER, GIERWAZIEWICZ, PROTAZINSKI.

GIERWAZIEWICZ.

Co Pan każe?

LEANDER.

Wołay Podſkarbiego, Koniuſzego, Sekretarza. — Protaziński!

PROTAZINSKI.

Jeſtem, Mości Dobrodzieiu!

LEANDER.

Niech tu przyidą Kapitan, y Kapelmayſter.

SCENA VI.

LEANDER, PODSKARBI, KONIUSZY.

LEANDER.

Panie Koniuſzy! — każ Waść żeby była w ſtayni wſzelka gotowość, — Konie przybrane, — o czubach nie zapomnieć. — Jędrzey ſztangret niech ſobie ſzwarcowane wąſy przyprawi; — Koń moy ciſawy, niech będzie okulbaczony, każeſz Waść rząd moy pozłociſty na niego włożyć —

KONIUSZY.

Stanie ſię wſzyſtko według woli Pańſkiey. Ale Mości Dobrodzieiu! —

LEANDER.

Dayże mi Waść pokoy ztym ale —

KONIUSZY.

Ale Mości Dobrodzieiu! Staienni ſtrawnych —

LEANDER.

Jużem powiedział, że tych ale nie lubię. — Niech będzie wſzyſtko tak, iakem roſkazał. — Czubow nie zapomnieć. Podz Waść. — Panie Podſkarbi

PODSKARBI.

Jeſtem do uſług Pańſkich.

LEANDER.

A przyſzły pieniądze od tego żyda?

PODSKARBI.

Od tego żyda, Mości Dobrodzieiu?

LEANDER.

Tak ieſt, od tego żyda, co ie tu miał przewexlować.

PODSKARBI.

Przewexlować, Panie Dobrodzieiu?

LEANDER.

Tak ieſt, przewexlować.

PODSKARBI.

Panie Dobrodzieiu przepraſzam! —

LEANDER.

Za coż mnie Waść przepraſzaſz?

PODSKARBI.

Przepraſzam, Panie Dobrodzieiu! bom pieniędzy nie odebrał, y o wexlu nie ſłyſzałem.

LEANDER.

Jak to Waść nie ſłyſzałeś? Wſzakem mowił oſtatnią razą, że Waść miałeś — o te pieniądze.

PODSKARBI.

O te pieniądze, Panie Dobrodzieiu? — od dwoch mieſięcy w ſkarbie

Pańſkim y ſzeląga nie maſz; y moia penſya —

LEANDER.

Dayże mi Waść pokoy z tą penſyą y tym ſwoim ſkarbem: — niech tu przyidzie Pan Kapitan.

SCENA VII.

LEANDER, KAPITAN.

KAPITAN.

Sta — ſta — wam na zawoła — łanie — na Pa — pa — panſki ordy — dy — nans.

LEANDER.

Ludzie czy ſą w gotowości?

KAPITAN.

Ta — ta — tak ieſt.

LEANDER.

Harmaty zatoczone?

KAPITAN.

Ta — ta — tak ieſt.

LEANDER.

Broń czy ieſt czyſta, y ładunki do ſtrzelania czy doſtali żołnierze?

KAPITAN.

Ta — ta — tak ieſt.

LEANDER.

Słuchayże Waść! Panie Kapitanie, Jak będą goście przyieżdżać, pamiętay Waść dać ordynans Wachmiſtrzowi, żeby żołnierze byli w kurdygardzie. Jak zaś goście będą wieżdżać niech warta zawoła Rauſs—

KAPITAN.

Ra — Ra — Rauſs—

LEANDER.

Ale nie przeſzkadzay mi Waść — Jak więc goście będą wieżdżać niech warta zawoła Rauſs—.

KAPI-

KAPITAN.

Ta — ta — tak ieſt, Rauſs. —

LEANDER.

Ale iuż mowiłem, nie przerywaymi Waść. —

KAPITAN.

Ta — ta — tak ieſt.

LEANDER.

Jak więc goście będą zaieżdżać, niech uważaią karetę, w ktorey będzie Pan Cześnik y Pani Cześnikowa y Panna Cześnikowna.

KAPITAN.

Ro — ro — zumiem y Pa — panna Cześnikowna.

LEANDER.

Przeſtańże Waść, kiedy ia mowię. — Jak tedy poſtrzegą karetę Pana Cześnika, niech doboſz na ten czas iuż nie biie werbel, ale marſz!

KAPITAN.

To — to — to — być nie może.

LEANDER.

Jak to być nie może? —

KAPITAN.

Nie — nie — nie może. Marſz ſię bi — biie — tylko przed Pa — Panem y Kro — Kro — Krolem.

LEANDER.

Co mi tam Waść prawiſz. Ja tak chcę, y tak muſi być. Rozumieſz Waść. —

KAPITAN.

Ta — ta — tak ieſt.

LEANDER.

Jak przyydzie czas wieczerzy, niech żołnierze połmiſki z kuchni nioſą, Wachmiſtrz przed niemi z laſką, a oni ieden po drugim.

KAPITAN.

Zoł — żoł — żołnierze do poł — połmiſkow?

LEANDER.

Ta — ta — tak ieſt. Już mowiłem, żeby mi nie przeſzkadzać. — Jak przyydzie zaſtawiać y zdeymować potrawy, niech ſtoią koło ſtołu rzędem, a każdy niech ſię proſto trzyma, y patrzy w bok.

KAPITAN.

Nie — nie — na — poł — poł — miſki?

LEANDER.

Waść, widzę, nie możeſz wytrzymać, żebyś czego nie dołożył. Jak przyydzie bić capſtrzyk, niech doboſz pod okna ſali chodzi, żeby ſłyſzeli goście.

KAPITAN.

Y po — po — ſzli ſpać.

LEANDER.

Idźże iuż y Waść, a nie bałamuć.

KAPITAN.

Ale — le Mo — mości Do — do — brodzieiu — Zołnie — nie —

SCENA VIII.

Ciż sami KAPELMAYSTER.

KAPELMAYSTER.

A ia kiedy będzie gralem?

LEANDER.

Niech kapela będzie na pogotowiu, da znać Pan Marſzałek, kiedy ſię będzie miał koncert zacząć.

KAPELMAYSTER.

Concerto — a — ia Concerto —

LEANDER.

Po kolacyi zaś, gdy ſtoły wynioſą, ſtanieſz Waść z kapelą do grania tańcow.

KAPELMAYSTER.

Moy ſkrzypc nie po Polſki:—Symfonie, Quartetto — ia; — ale taniec — ja nie będzie taniec.

LEANDER.

Kiedy Waść u Polaka ſłużyſz, grayże Waść po Polſku, a nie wymyślay. Rozumieſz Wać, Panie Pużan?

KAPELMAYSTER.

A — ia — ia —

SCENA IX.

Ciż sami, POGROMSKI.

POGROMSKI *piiany.*

Pana Dobrodzieia — witam y winſzuię — applauzow — ſtatecznego — wyrokow Boſkich — Ale iakież to wino u naſzego kochanego Cześnika! — przyſięgam Bogu, — to kochany Dobrodziey — Pan — (*patrzy na Kapitana*) a Jegomość z Flandryi?

LEANDER.

Nie — to Kommendant moich nadwornych żołnierzy. —

POGROMSKI.

Mości Panie Kommendancie nadwornych żołnierzy! kłaniam. —

KAPITAN.

Kła — kła — kłaniam.

POGROMSKI.

Kochany Rycerzu! — powiedz — co tam słychać w Flandryi?

LEANDER.

Jużem Wać Panu powiedział, że Jegomość nie z Flandryi.

POGROMSKI.

Jegomość — nie z Flandryi? — przepraszam. — Ale Pan Dobrodziey iuż to podobno zapomniał o prawdziwych sługach swoich. —

LEANDER.

Po czymże to Wać Pan miarkuiesz --

POGROMSKI.

Po czym miarkuię? — po wszystkim.

LEANDER.

Jak to?

POGROMSKI.

Oto tak. — Nayprzod Pan wie, iak to bywało — za dawnych czasow — Poki świat światem — a ha!

LEANDER.

Nie rozumiem, co Waść chcesz przez to wyrażać. —

POGROMSKI.

Ale ia rozumiem (*do Kapitana*) Monsiu, a każ Waść wina przynieść.

KAPITAN.

Ja nie do — do — kie — lisz — ka — słu — słu — żę.

POGROMSKI.

A do czegoż, kochany Rycerzu?

KAPITAN.

Do na — na — uczenia — ro — ro —

LEANDER *do Kapitana*

Dayże Waść pokoy — wſzak widziſz, że piiany: — nie rob mi hiſtoryi w domu — (*do Pogromſkiego*) Mości Panie Pogromſki będzie wola kieliſzek wina.

(*Kapitan odchodzi.*)

POGROMSKI.

Dobrze — kiedy Pan każe, — wa. ale widzę, kochany Rycerz — markotny, każ go Panie Dobrodzieiu zawołać; — ia go — potrafię ucieſzyć! — Pan wie, iak to ia — e e kſzyt —, ciach —

LEANDER.

Gierwaziewicz! (*przychodzi*) — Przynieś wina, y zawołay Pana Marſzałka, niech tu zaraz przyydzie.

SCENA X.

Ciż ſami MARSZAŁEK.

LEANDER *z kielichem.*

Mości Panie Pogromſki! do Wać Pana — ſtateczna przyiaźń —

POGROMSKI.

Pan nie łaſkaw na ſługę. — Nie tak to bywało za naſzych czaſow. — Pan naparſzteczkiem piie, iak k[illegible]nareczek.

LEANDER.

Przepraſzam, że nie pełno, — muſzę ſię ochraniać dla dziſieyſzey ochoty.

POGROMSKI.

Prawda — (*z płaczem*) zgrzeſzyłem; — odpuść Panie — poſądziłem — zgrzeſzyłem — Panie Marſzałku! padniymy do nog — przepraſzaymy —

(*pada do nog.*)

LEANDER *porywa go.*

Ale co Wać Pan czyniſz?—nie żartuy —

POGROMSKI *klęczy.*

Zgrzeſzyłem — poſądziłem. *(do Marſzałka)* A Waść czemu nie klęczyſz?

LEANDER.

Bo ia tego nie chcę — *(podeymuie Pogromſkiego)* Nie żartuy Wać Pan, naley ſobie.

POGROMSKI.

Dobrze — *(do Gierwaziewicza)*— ley, kochany! pełno — pełno — wiwat — *(do Marſzałka)*— iak to, Panie Marſzałku! — feſtum colimus: wſzak tak? —

MARSZAŁEK.

Cujus feſtum colimus?

POGROMSKI.

Jaki mi to Waść łacinnik! — Czy colimus, czy nie colimus, a ia ſługa Pańſki — y kwita; — a kto niewierzy —

LEANDER.

Ale ktoby nie wierzył?—

POGROMSKI.

Ja pewien łaſki Pańſkiey, — ale ten Jegomość, Panie Dobrodzieiu! pozwol — niech ſię ia z tym niemiaſzkiem ucieſzę. — E he! —

LEANDER.

Day Wać Pan temu pokoy, a teraz proſzę być weſołym w domu moim.—

POGROMSKI.

Ey Panie Dobrodzieiu! pozwol tylko na moment — na kwadranſik. —

LEANDER.

Potym o tym; — niezabawem będę Wać Panu służył, — teraz muszę na moment odeyść. —

POGROMSKI.

Ja odeydę, — niech Pan zostanie. *(do Marszałka)* Podźmy do niemiaszka. —

MARSZAŁEK.

Proszę pierwey do mnie, — napiiemy się.

POGROMSKI *Leandrowi do ucha.*

Panie Dobrodzieiu! — ten Pan Marszałek, — to skarb nie człowiek. — *(odchodzi.)*

SCENA XI.

LEANDER *sam.*

Przecieżem się pozbył tego importuna. — Piiak, burda, — okazyi tylko

szuka, — a kiedy przyydzie do czego — iużem poznał, — iak spokoyny y grzeczny. Przykrzy mi się sposob moiego życia, — ale iak go odmienić? — powiedzą, że czynię z musu, — powiedzą może, że dziwak: — w Warszawie ani się będzie można pokazać. — Ale y w Warszawie — są tacy, — ktorzy się tym sposobem życia brzydzą; — ale może ta, dla ktorey — płeć iey lubi wspaniałość, — ale ona przywarow płci swoiey nie zna. —

SCENA XII.

LEANDER, MARSZAŁEK.

LEANDER.

A cożeś Waść tam z Pogromskim zrobił?

MARSZAŁEK.

Dwa kielichy zwaliły go z nog, spi teraz sinaczno, — ale Mości Dobrodzieiu! Szafarz —

LEANDER.

Ah! zmiłuy ſię! nie cierp oſtatniey moiey konfuzyi. —

MARSZAŁEK.

Wchodzę ia w czułość Pańſką. Ale coż czynić z tym człowiekiem, ktory na przekorę zapewnie Panu wſzyſtkie te ſztuki wyrządza. — A godziłoby mu ſię większą mieć atencyą dla Pana. Każ go Wać Pan Dobrodziey zawołać, y naucz chłopa rozumu. Niech wie, że Pańſki poddany. — Rozbrykał ſię w nadzieię, że ſtary ſługa; y dla tego, że oycu ſłużył, rozumie, że powinien ſyna rozumu uczyć.

LEANDER.

Trzeba też to czaſem y wybaczyć przez wzgląd na wiek, — na dawne uſługi. —

MARSZAŁEK.

Wybaczyć chłopu? — Nigdy. Wierz mi Pan Dobrodziey, iż ten rodzay żadnego względu niegodzien, — dobroć go pſuie: — urodzony do iarzma, — trzeba, żeby iarzmo znał; inaczey tak, iak nasz ten miły Pan Bartłomiey rozbryka ſię, — y ieżeli go batog nie nawroci, — ſzubienica chyba reſzty dokaże.

LEANDER.

Zarliwość Wać Pana dla mnie uczynna, ale nie ludzka. Znam ia, że chłop; dla tego, że ieſt chłopem, nie przeſtaie być człowiekiem. Ażem ieſt iego Panem, przypadek urodzenia nie powinien być przyczyną nieſzczęścia tych, ktoremi rządzę.

Koniec Aktu Pierwszego.

AKT DRUGI.

SCENA I.

STARUSZKIEWICZ *ſam.*

Nikt mnie nie poſtrzegł: — miałem tu zaſtać Bartłomieia, a widzę go ieſzcze nie maſz. — Biedny ſtarzec zapewnie ſię krząta, żeby dogodził wymyſłom młodego Pana. Powiedział mi Pan Cześnik, że on tu wiele cierpi, — zapewnie nie od mego Synowca. — Znam ia iego dobrą naturę, — ale to iego Marſzałki, Koniuſzowie, Podſkarbiowie, ci y Pana gubią, y tego dobrego ſtaruſzka męczą. — Mam w Bogu nadzieię, że tego nie długo będzie. —

SCENA II.

STARUSZKIEWICZ, BARTŁOMIEY.

BARTŁOMIEY.

Ah Mości Dobrodzieiu! Pan Bog nam tu Wać Pana zeſłał. — Niepoznaſz Wać Pan y dwor y ludzi. — Patrzayno Wać Pan, iakem ſię ia tu zeſtarzał. — Oy! bieda mi bardziey dokuczyła, niżeli lata.

STARUSZKIEWICZ.

Jakże mi ſię maſz, moy kochany Bartłomieiu?

BARTŁOMIEY.

Miałcibym ſię nie źle, ale tuteyſzy nierząd, y zdrowie mi odiął, y ieżeli dłużey tego będzie, y życie weźmie.

STARUSZKIEWICZ.

Nie turbuy ſię, — znaydzie ſię na wſzyſtko lekarſtwo. A odebrałeś moy liſt?

BARTŁOMIEY.

Tego momentu oddał mi posłaniec.

STARUSZKIEWICZ.

Pamiętayże to wykonać, com tam napisał. A nim się zakrzątniesz koło roboty, powiedz, co tu u was słychać?

BARTŁOMIEY.

Ah Mości Dobrodzieiu! źle. Pan dobry, ale go otoczyła zgraia ludzi niegodziwych, niepoczciwych. Poki w domu z początku siedział, wszystko szło dobrze. Wyiechał potym do Warszawy, — bawił tam kilka miesięcy, — daią znać, że powraca. — Wybiegłem na ganek, patrzę, aż tu assystencya, y za karetą, y przed karetą, y około karety. Wyiechał był tą błękitną kolaską Gdańską, w ktorey (iak Wać Pan Dobrodziey pamiętasz) Jegomość niebosczyk co rok ieździł na

kontrakty. Została się w Warszawie, podobno ią tam komuś darował, a tu przyiechał karetą wyzłacaną, wymalowaną; za nim kareta druga, rozumiałem, że goście, aż tu Pan Marszałek, Pan Sekretarz, Pan Podskarbi, y iakiś towarzysz, Pan Pogromski. —

STARUSZKIEWICZ.

Pogromski? — Ato co? ten piiak, burda, oszust?

BARTŁOMIEY.

Ten sam. Nie na tym się skończyło. W kilka dni potym, gdym ieszcze na łożku leżał, słyszę, aż w taraban biią. Rozumiałem, że zaiazd. Porwałem się z łożka; aż mnie tu pokoiowy powiada, że to Pan Kapitan y nadworni żołnierze ciągną. Nie chciałem wierzyć. Wypadam na dziedziniec, aż oni stawiaią warty u bramy, u sieni; Kapitan musztruie, zataczaią harma-

tki, rynſztunki z wozow dobywaią. Na to wſzyſtko łzy mi ſtanęły w oczach, wſpomniałem ſobie nieboſzczyka Pana, wſpomniałem Wać Pana Dobrodzieia, — przeklinałem Warſzawę. —

STARUSZKIEWICZ.

Coż daley? —

BARTŁOMIEY.

Y na wołoweyby ſkorze nie ſpiſał, co tu ſię potym działo.—Pamiętaſz Wać Pan owe beczki wina ſtarego w żelaznych obręczach. Co to Jegomość nieboſzczyk ſtrzegł, iak oka w głowie?—

STARUSZKIEWICZ.

Pamiętam.

BARTŁOMIEY.

Wypili ią za dwa dni, a co zdrowie, daley z harmatek, albo z ręczney ſtrzelby, iak na Boże Ciało. — Po ſtarym poſzły y młodſze, daley y miod, nawet wiśniak, malinnik, iabłecznik. —

STARUSZKIEWICZ.

Ah dla Boga! coż to za zbytki!

BARTŁOMIEY.

Słuchayno Wać Pan daley. Nieboſzczyk Pan, ſpodziewaiąc ſię głodu, przez dwa roki nie poſyłał zboża do Gdańſka, iuż nie było mieyſca w ſzpichlerzu.

STARUSZKIEWICZ.

Coż ſię z nim ſtało? —

BARTŁOMIEY.

Kupił go żyd za bezcenek.

STARUSZKIEWICZ.

A pieniądze?

BARTŁOMIEY.

Pięniądze? Nie wiem, ieżeli dał w gotowiźnie y pięć tyſięcy, y to ſa-

memi miedziakami. Za reſztę ſprawił ſobie Pan Marſzałek cztery pary ſukien. — Pan Podſkarbi wziął kwitowe. — Pan Koniuſzy dwa ſzłapaki. — Kapelmayſter poſprowadzał niezliczoną moc parbyturow, Inſtrumentow. — Sprawiły ſię mundury dla żołnierzow. — Mnie dali reſztę na expens; zgadniey Wac Pan wiele?

STARUSZKIEWICZ.

Przynaymniey dwa tyſiące. —

BARTŁOMIEY.

Dwieście ſiedmdzieſiąt pięć złotych, groſzy trzynaście, y ſzeląg. A z tego (patrzayno Wać Pan) trzeba było wyſtarczać na ſtoł, na cukry, na feierwerki, na illuminacye, y ieſzcze wydarł mi Pan Pogromſki złotych ſześćdzieſiąt, iak mowił, wygranych od Jegomości w chapankę.

STARUSZKIEWICZ.

To było nie dawać. —

BARTŁOMIEY.

Tak ieſt, nie dawać, kiedy z ſzablą nad łbem machał.

STARUSZKIEWICZ.

Ah dla Boga! coż to takiego?—

BARTŁOMIEY.

Jeſzcze to nie wſzyſtko. Patrzayno Wać Pan (*wyymuie Reieſtr*).

STARUSZKIEWICZ.

Coż to w tym piśmie? —

BARTŁOMIEY.

Każeſz go Wać Pan czytać?—

STARUSZKIEWICZ.

Czytay.

BARTŁOMIEY *bierze okulary na nos.*

Specyfikacya długow Wielmożnego Jegomości Pana —

STARUSZKIEWICZ.

Zaniechay tytułow, czytay z gory. —

BARTŁOMIEY.

Nayprzod. — Niewiernemu Szmuyle Aaronowiczowi za korzenie brane do kuchni, — tyſiąc ſiedmſet czterdzieści dwa złote, groſzy trzy.

STARUSZKIEWICZ.

Tyſiąc ſiedmſet złotych za korzenie? Jego oyciec przez całe życie tyle nie ziadł. Daley.

BARTŁOMIEY.

Panu Lokciewiczowi kupcowi Warſzawſkiemu za ſukno na liberye, tyſiąc czteryſta pięćdzieſiąt cztery złote, groſzy ośm. —

STARUSZKIEWICZ.

Komuż to te liberye?

BARTŁOMIEY.

Mamy Lokaiow czterech, Haydukow dwoch, Laufra, Murzyna, Strzelca, Paiuka, Turczyna—

STARUSZKIEWICZ.

Przeſtań tey litanii. —

BARTŁOMIEY.

Krawcowi Warſzawſkiemu Falendyſzowi za robienie tychże liberyy y ſukien dla Jegomości złotych dziewięć ſet dwadzieścia pięć.

STARUSZKIEWICZ.

A niemaſz tu krawcow bliżey?

BARTŁOMIEY.

Są, ale nie Warſzawſcy; a iak powiada Pan Marſzałek, w Warſzawie tylko umieią ſuknie robić. —

STARUSZKIEWICZ.

W Warſzawie? A my to bez ſukien chodziemy? Daley.—

BARTŁOMIEY.

Item. Temuż Falendyszowi za robienie munduru paradnego dla Pana Kapitana, złotych pięć set dwadzieścia. —

STARUSZKIEWICZ.

Jak to? pięćset dwadzieścia, za robienie munduru?

BARTŁOMIEY.

Ale bo to y mundur zrobił, y sukno na swoy reiestr wziął, y galony. —

STARUSZKIEWICZ.

A to co inszego. Daley.

BARTŁOMIEY.

Item. Temuż Falendyszowi za pięć frąkow dla Jegomości, y dwa roklory —

STARUSZKIEWICZ.

Coż to znowu te Fraki y Roklory?

BARTŁOMIEY.

Pytay się Wać Pan Jegomości, — Za fraki y roklory złotych dwa tysiące trzy sta sześćdziesiąt, y groszy ośm.

STARUSZKIEWICZ.

O! musi to być coś pięknego! — Daley.

BARTŁOMIEY.

Item. Panu Falendyszowi —

STARUSZKIEWICZ.

A pokiż to tego Falendysza? — Komuż tam ieszcze więcey?

BARTŁOMIEY.

Panu Drumondier kupcowi Francuzowi, za dwie Enkoiniury, Berżere, y Trumo do Buduaru —

STARUSZKIEWICZ.

A po iakiemu to waszeć gadasz?

BARTŁOMIEY.

Oy! ponaſzemu Mości Dobrodzieiu! Ja nie wiem co to ieſt, ale wiem, że koſztuie złotych trzy tyſiące ośm ſet dwadzieścia dziewięć.

STARUSZKIEWICZ.

Day go katu! — Daley. —

BARTŁOMIEY.

Za dezoblizante na reſſorach —

STARUSZKIEWICZ.

E! —

BARTŁOMIEY,

Za dezoblizante na reſſorach. —

STARUSZKIEWICZ.

A to co?

BARTŁOMIEY.

Jeſt to kareta na iednę oſobę. —

STARUSZKIEWICZ.

A po co nie na dwie, albo na cztery? można y przyiaciela pomieścić. — Coż za tę dezoblizante?

BARTŁOMIEY.

Złotych dwa tyſiące dziewięćſet dziewięćdzieſiąt y dziewięć.

STARUSZKIEWICZ.

A czemuż nie trzy tyſiące?

BARTŁOMIEY.

Utargowaliśmy złoty.

STARUSZKIEWICZ.

Daley.

BARTŁOMIEY.

Puſzkarzowi Dymkiewiczowi za dwieście kop ſzmermelow, rac dwa tyſiące ſiedm ſet czternaście, młynkow czteryſta dziewięćdzieſiąt pięć puſzkow —

STARUSZKIEWICZ.

Hola! — hola! — hola! coż za to wſzyſtko?

BARTŁOMIEY.

Puſzkow—

STARUSZKIEWICZ.

Coż za to?

BARTŁOMIEY.

Złotych ſiedm tyſięcy — dwieście — ośmdzieſięt cztery. —

STARUSZKIEWICZ.

Bodayżego tego Dymkiewicza. — Ale ktoś idzie: bywayże mi zdrow; — reſzty mi potym dokończyſz. — Pamiętay to wſzyſtko wykonać, com napiſał, — a bądź pewien o moiey wdzięczności. —

(odchodzi.)

SCENA III.

BARTŁOMIEY, LEANDER.

LEANDER.

Nie ſpodziewałem ſię tego po tobie, moy kochany Panie Bartłomieiu! żebyś dawne ſwoie ku mnie przywiązanie odmienił.

BARTŁOMIEY.

Jak to, miłościwy Panie?—

LEANDER.

Pan Marſzałek mi powiedział, iż właśnie iak na przekorę, w ten czas, kiedybym ſię ia iak naylepiey w dzień imienin moich chciał pokazać, waſzeć iakieś trudności wymyślaſz, y nie chceſz nic tego uczynić, coś był przedtym zwyczaynie dla mnie wiernie y uprzeymie. —

BARTŁOMIEY.

Mości Dobrodzieiu! wieſz Wać Pan, że ia Wać Pana kocham. Godzi ſię ſtaruſzkowi użyć tego terminu. Oy Paneyku! Wać Pan tego nie pamiętaſz, kiedyś był ieſzcze maleńkim, iam Wać Pana kołyſał, piaſtował, a niebożczyk Pan nieraz mi mowił: Bartłomieiu! iak ia umrę, ſłuż dobrze Juziowi. — *(płacze.)*

LEANDER.

Jakże to, Bartłomieiu? powiadaſz, że mnie kochaſz, a nie chceſz dla mnie nic uczynić.

BARTŁOMIEY.

A coż ia mam uczynić, kiedy nie maſz nic ani w ſpiżarni, ani w gumnie? a o pieniądzach ani pytay; a Pan chce gości traktować, y ſprawiać illuminacye.

LEAN-

LEANDER.

To mi to ſługa, Panie Bartłomieiu! kiedy to w potrzebie Pana weſprze. Zebyś wiedział o co tu idzie. —

BARTŁOMIEY.

A o co?

LEANDER.

Znaſz dobrze moię ſąſiadkę Pannę Cześnikownę, znaſz iey piękność, iey talenta, iey ſtatek. Od kilku czaſow, ile możności ſtaram ſię iey przypodobać. Dziś ma być u mnie z rodzicami; coż ia poczną nieſzczęśliwy! kiedy ich nie przyymę tak, iak ſą godni. —

BARTŁOMIEY.

Ma Pan racyą. Ale wie pan, iak to powiadaią, że trudno z piaſku bicz ukręcić?

LEANDER.

Pomyślno trochę. — Moy ty kochany! moy luby! moy ferdeczny! — *(ściſka y całuie Bartłomieia.)*

BARTŁOMIEY.

Tak to Panowie zawzdy, kiedy potrzeba, to moy luby, moy ſerdeczny. — A kiedy nie, — to na Bartłomieia ani patrzyć. —

LEANDER.

Krzywdę mi czyniſz: — ia nie ieſtem z liczby tych niewdzięcznikow, tych nieludzkich, — niegodziwych.

BARTŁOMIEY.

Prawda, Paneyku, że Wać Pan dobry, ale te Panicze, co to Wać Pana otaczaią, y na wſzyſtko złe wiodą. Zobaczyſz Wać Pan, że nie będzieſz miał z nich pociechy. —

LEANDER.

Prawdę mowiſz, — Bartłomieiu! y ia to iuż zaczynam poznawać; — ale tym czaſem dziſieyſza wieczerza. —

BARTŁOMIEY.

Zebyś był Wać Pan przynaymniey wcześniey powiedział, dali Bog! zaſtawiłbym oſtatnią łachmanę, żeby Panu dogodzić. Ale tu czas krotki, a w śpiżarni nie maſz nic, tylko dwie wędzonki, y faſka mąki gryczaney. Coż iuż czynić? będę głową o mur tłukł, — aż ſię co ſkleci.

(odchodzi.)

SCENA IV.

LEANDER.

Dobry ten ſtaruſzek, podobno ma racyą, — te moie urzędniki ſwoiego tylko dobra ſzukaią, a o Pana żaden z nich nie dba. —

SCENA V.

LEANDER, KONCEPTOWICZ.

LEANDER.

Coż to, Panie Konceptowicz?

KONCEPTOWICZ.

Nie chcąc być inutilis ſub tecto paſſer, przynioſłem tu Panu niektore idee, ſłużące do dekoracyi marcepanow, na dziſieyſzym feſtinie.

LEANDER.

Jakież tam ſą?

KONCEPTOWICZ *wyymuie papier.*

Jużem ſię umowił z cukiernikiem, — teraz dependuie od Pana dać łaſkawą aprobatę: parcere ſubjectis. —

Nayprzod tedy, Mości Dobrodzieiu! będzie na śrzodku cukrowey de-

koracyi litera I, w cyfrze, a pod nią takowy napis.

Sliczna Dyanna,
Bogini Joanna.

Po prawey ſtronie będzie herb oyczyſty, Jegomości Pana Cześnika Rogala z inſkrypcyą:—

Wdzięczne rogi,
Trwogi, w nogi.

Po lewey, macierzyſty kleynot, Jeymości Pani Cześnikowy, Panna na niedźwiedziu, Lemma:

Y niedźwiedzie
Afekt wiedzie.

LEANDER.

Obeydzie ſię bez tych napiſow; iuż wyſzły z mody. —

KONCEPTOWICZ.

Nadto ieſt wielka Pańſka przezorność, żeby guſt wytworney erudycyi

przemiiaiącey powierzał modzie. — Jeżeli więc te inſkrypcye nie podobaią ſię, — na inſzy kſztałt ozdobię ſtołową dekoracyą.

LEANDER.

A to iak?

KONCEPTOWICZ.

Oto Mości Dobrodzieiu! będzie na wetach z iedney ſtrony anagramma, z drugiey epigramma, a we śrzodku chronoſtyk.

LEANDER.

Wolę ia biſzkokty,— day Waść temu pokoy.

KONCEPTOWICZ.

To wreſzcie,—namaluiemy iednorożca.—

LEANDER *przerywa.*

Nie chcę nic. Co to Waść maſz za liſt?

KONCEPTOWICZ.

Jakiem tu ſzedł, oddał mi go poſłaniec. Adres do Wać Pana.

LEANDER.

Day go Waść, — *(czyta adres)* to widzę od mego Plenipotenta. *(czyta.)*

„Stateczne moie do intereſow, y oſoby Pańſkiey przywiązanie, przymuſza mnie oznaymić: iż ſtryi Wać Mość Pana Dobrodzieia, nabywſzy ceſſyi od rożnych dłużnikow, na fundamencie tych pretenſyi, proces przewiodł, y zabiera ſię do dobr na tradycyą. Nie wiem, kiedy ſię to ſtanie, ale dochodzą mnie wieści, iż w tych dniach zapewnie Plenipotent z Oficyaliſtą maią ziechać do dobr, y odbierać ie. Zmiłuy ſię nad ſobą, Mości Dobrodzieiu! a ſtaray ſię zmiękczyć zagniewanego ſtryia.„—

Ah ia nieſzczęśliwy! — Coż tu począć? — (*biią w taraban*)

Gerwaziewicz, Protaziński. (*do Sekretarza*) Każ Waść zawołać, — (*Sekretarz idzie*) ale nie — zoſtań ſię Waść. — Gdzież pokoiowi? (*do Sekretarza*) Czego Waść ſtoiſz? — powiedz Waść.—

SCENA V.

PANI SKARBNIKOWA, PANI PODWOIEWODZINA, LEANDER.

LEANDER.

Ah Moście Dobrodzieyſtwo! przepraſzam iak naypokorniey, że mi nie dano znać—

SKARBNIKOWA.

Wolny to żart Wać Pana.—

LEANDER.

Byłbym poſpieſzył —

PODWOIEWODZINA.

Obeydzie ſię bez tey ſatygi Wać Pana.

LEANDER.

Ale ſuplikuię —

SKARBNIKOWA.

Kłaniam ſię uniżenie.

LEANDER.

Nie mieć mi za złe —

SKARBNIKOWA.

Uniżona ſługa.—

LEANDER.

Będzie wola odpocząć?

SKARBNIKOWA.

Nie ieſtem zmordowana.

PODWOIEWODZINA.

Zdrowe mam nogi, z łaſki Pana Boga.—

(*biią w taraban*)

LEANDER.

Za pozwoleniem, poſpieſzę — przywitać. —

PODWOIEWODZINA.

Szczęśliwa droga. —

SCENA VI.

SKARBNIKOWA, PODWOIEWODZINA.

SKARBNIKOWA.

Piękna polityka Jegomości! nie wyyść na przeciw nam.

PODWOIEWODZINA.

Przynaymniey, żeby do ſtołowey izby.

SKARBNIKOWA.

Jak to do ſtołowey izby? na ganek, na ganek Mościa Pani.

PODWOIEWODZINA.

Prawdziwie, dobrze to powiedziała Pani Sędzina, że te Warſzawſkie kawalery wcale teraz nie grzeczne.

SKARBNIKOWA.

Pamiętaſz Wać Pani, kiedy tu był Pan Adiutant? —

PODWOIEWODZINA.

Jakże nie mam pamiętać! — Jak wpadł do mnie do izby, mało mi dzieci nie poroztrącał. Franuś ſię go tak przeſtraſzył, iż miał potym czkawkę więcey iak przez połgodziny.

SKARBNIKOWA.

A u mnie ani poſtał —

PODWOIEWODZINA.

Jeżeli oni tacy wſzyſcy, to zakażę moim dzieciom pod błogoſławieńſtwem, żeby do Warſzawy nigdy przenigdy nie ieździli. — A widziałaś

Wać Pani te modne kornety u Panny Cześnikowny, — co ie Pan Leander przysłał ostatnią razą? —

SKARBNIKOWA.

Widziałam, — ale mi się nie podobały. Kto to widział, takie czuby na łbach! Ja zawzdy będę utrzymowała, że lepsze fontazie.

PODWOIEWODZINA.

Zapewne, że lepsze. Sprawiły się raz, y można ie było nosić niewiedzieć poki. A teraz dzień, dwa, trzy, y iuż nie ma co dać Pannie służebney.—

SKARBNIKOWA.

Ale powiadaią, że się odezwał — Pan Leander do Panny Cześnikowny.—

PODWOIEWODZINA.

Właśnie się dobiorą. On sowizrzał, grubian, zapamiętalec. A ona,

że ma czuby, y gra na klawikorcie, to iuż rozumi, że wszystkie rozumy poiadła; a Pan Sędzic—

SCENA VII.

Ciż sami LEANDER, SKARBNIK, PODWOIEWODZY.

SKARBNIK *u drzwi*

Już co tego — to żadnym sposobem nie uczynię.—

LEANDER.

Ale proszę, Mości Panie Skarbniku! —

SKARBNIK.

Żeby mi tu przyszło y nocować — nie — —

LEANDER.

Ale, Mości Panie Podwoiewodzy! —

PODWOIEWODZY.

Wolno ze mną co chcieć uczynić, ale nie odważę się nigdy——

LEANDER.

Ale Mości Panie Skarbniku!—

SKARBNIK.

Exces to dobroci Wać Pana, że mnie chcesz —

LEANDER (*bierze obydwoch pod boki.*)

Ale suplikuię, Mości Panie Skarbniku! — Mości Panie Podwoiewodzy!—

PODWOIEWODZY.

Protestuię się, — że mi gwałt czyni łaskawa Wać Pana ludzkość. —
(*wchodzą.*)

SKARBNIKOWA (*do męża.*)

Moie serce! mnie głowa boli.

PODWOIEWODZINA (*do męża.*)

Juziulu! ia chora na katar.

LEANDER.

— Ubolewam, — może to fatyga podroży.—

PODWOIEWODZINA.

Nie fatyga podroży —

SKARBNIKOWA.

Jesteśmy chore, bośmy niezdrowe.—

SCENA VIII.

Ciż sami KAPITAN.

LEANDER *do ucha Kapitanowi.*

Po coż Waść kazał bić marsz przed temi gośćmi?

KAPITAN.

Ro—ro —rozumiałem, że Pa — Panna Cześnikowna —

LEANDER.

Było ſię lepiey informować.

KAPITAN.

To — to iuż dla — dla — dyſtyn— kcyi, iak bę — będzie iechać Pa — panna Cześni — nikowna, każę bić la — la — rum.

LEANDER.

Biy iuż Waść co chceſz, — a day mi pokoy.

SCENA IX.

Ciż ſami PROTAZINSKI.

PROTAZINSKI *do ucha Leandrowi.*

Mości Dobrodzieiu! Bartłomiey kazał powiedzieć Wać Panu Dobrodzieiowi, żebyś nie częſtował winem, bo iuż tylko cztery butelki. —

LEANDER.

A wſzakże nie dawno beczkę przywieźli. —

PROTAZINSKI.

Pan Marſzałek wyczęſtował.

LEANDER *do gości.*

Będzie wola do ogrodu? —

SKARBNIKOWA.

Roſa ieſt, nie poydę —

PODWOIEWODZINA.

Ja ſię boię wężow.

LEANDER.

To Kawy?

PROTAZINSKI *do ucha Leandrowi.*

Pan Pogromſki imbryk ſtłukł.

LEANDER.

Ale — od dawnych czaſow — nie mieliśmy tak piękney pogody, — iak teraz.

SKARBNIK.

Tym lepiey dla naſzey pſzenicy. —

LEANDER.

A u Wać Pana — to — pięknie pſzenica — wſchodzi.

SKARBNIK.

Dość pięknie, — ale ſię znowu boię kąkolu, iak przeſzłego roku.

LEANDER.

To to — był kąkol — przeſzłego roku — (*Protazińſkiemu do ucha*) Niechże przynaymniey lemonady przynioſą. — (*do Podwoiewodzego*) Nieſpodziewałem ſię tak wielkich upałow — gorąco nadzwyczaynie.

PODWOIEWODZY.

Y owſzem — czas umiarkowany — nie dawno deſzcz padał. —

PODWOIEWODZINA.

Nie urzekayże go Waſzeć moie ſerce! — niechay ſobie pada, — tym lepiey na roſſadę.

LEANDER.

O — tak, — Mościa Dobrodzieyko! — zapewne — tym lepiey na roſsadę.

PODWOIEWODZINA.

Albo to wiedzą w Warſzawie, — co to ieſt — roſsada?

LEANDER.

Czemuż nie? Mościa Dobrodzieyko. — Czyniſz Wać Pani krzywdę Warſzawie. — Ci, ktorych ſtopnie ſą wyżſze, — nie maią prawda czaſu myśleć o ſzczegulnych częściach goſpodarſtwa. — Z tym wſzyſtkim, y znaią ſię na nim dobrze, i kiedy czas y pora po temu, mowią o nim tak, iak ſię należy. —

SKARBNIKOWA.

Ha — ha — ha — to w Warſzawie wiedzą, co to ieſt roſſada?

LEANDER.

Jeśli mogą wiedzieć na wſi, czemuż nie w Warſzawie? —

PODWOIEWODZINA.

A Pan Adiutant nam powiedział, że gdyby kto w Warſzawie gadał o goſpodarſtwie, toby go wypchnęli za drzwi.

LEANDER.

Nayprzod, trzeba żebyście Wać Panie wiedziały o tym, że w Warſzawie nie wypychaią za drzwi, a gdyby to ſię ſtać miało, takichby wypychano za drzwi, ktorzyby raz wraz gadali nic do rzeczy.

SKARBNIK.

To to w Warſzawie —

(*Gerwaziewicz przynoſi lemonadę.*)

SKARBNIKOWA, *ktorey ofiaruie.*

A to na co?

LEANDER.

Jeſt to lemonada, na ochłodzenie. —

PODWOIEWODZINA.

A mnie bez tego zimno —

SKARBNIKOWA.

Ja nie piiam gęſiego trunku. —

LEANDER *do Skarbnika.*

Z gazet nie mieliśmy nic ciekawego, — powiadaią iednak, — że zanoſi ſię na woynę —

SKARBNIK.

Brońże iey Panie Boże! — zawzdy po niey naſtępuie ſzarańcza. —

LEANDER.

Bywało to czasem. (*Gerwaziewiczowi do ucha*) A gdzie Pan Marszałek?

GERWAZIEWICZ.

Jak tylko Pan Sekretarz od Pana powrocił, — kazali zaprząc wozek, y zabrawszy rzeczy, poiechali.

LEANDER *na stronę.*

Zdraycy! (*do Skarbnika*) Tak iest, — szarańcza — iest to wielka kara Pana Boga. — (*do Podwoiewodziny*) Będzie wola zabawić się w karty? —

PODWOIEWODZINA.

Ja nie umiem w tryssete.

SKARBNIKOWA.

Ja kart francuzkich nie znam.

LEANDER.

To możemy grać w Polskie. —

PODWOIEWODZINA.

Obeydzie się bez tego. —

SKARBNIKOWA.

Wolę ia dać pieniądze ubogiemu.

LEANDER.

To bez pieniędzy —

Obydwie razem.

A pfe! bez pieniędzy.

LEANDER *na stronę.*

Co ia mam czynić z temi dziwakami! (*do Podwoiewodzego*) A — liczne były sądy ziemskie?

PODWOIEWODZY.

Nie bardzo, — iam, chwała Bogu! moię sprawę wygrał. —

LEANDER.

A z kimżeś to WaćPan miał sprawę?

PODWOIEWODZY.

To Wać Pan nie wiedziałeś, że to — ale tę rzecz trzeba wiedzieć z gory. — Za panowania Krola Łokietka —

GERWAZIEWICZ *do ucha Leandrowi.*

Mości Dobrodzieiu! — woźny tu ieſt w ſieniach.

LEANDER.

Przepraſzam, — iako naypokorniey, że na moment odeyść muſzę — (*na ſtronę.*) Jużem też zginął na wieki!

SKARBNIKOWA *do innych.*

Piękna polityka! —

PODWOIEWODZINA.

Piękne przecie, a przegranie pięknieyſze.

PODWOIEWODZY.

Muſi mieć ſwoie intereſa, odeydźmy.

Koniec Aktu Drugiego.

AKT TRZECI.

SCENA I.

STARUSZKIEWICZ, LEANDER.

LEANDER.

Ah Mości Dobrodzieiu! czyż iam ſię mogł tego ſpodziewać po Wać Panu Dobrodzieiu! — Prawda, żem wykroczył, uznaię moię winę. — Słabość mnie iedynie do tego przywiodła; — otoczony złemi ludźmi — wierząc ślepo, — wpadłem w to nieſzczęście, w ktorym ſię widzę: — byłoby mi znośne, gdybym Wać Pana Dobrodzieia zagniewanego na ſiebie nie uznawał.

STARUSZKIEWICZ.

Panie ſynowcze! krok, ktory czynię bardziey mnie boli, niż Waſzeci.

Alem go muſiał uczynić. Trzeba było ratować reſzty, gdy iuż wſzyſtko ginęło. Mieli drudzy korzyſtać, — wolałem ia y z ſtratą wſzyſtko na ſiebie przyiąć; — niech ſię przynaymniey z nas cudzy nie naśmiewaią.

LEANDER.

Na wſzyſtko rezolwowany ieſtem. Ale zmiłuy ſię Wać Pan Dobrodziey! zatrzymay ſię z tradycyą, przynaymniey poki goście nie odiadą.

STARUSZKIEWICZ.

Na coż ſię zda ta zwłoka? a przynaymniey ſię wydatek —

LEANDER.

Fraſzka wydatek, — ale hańba moia, — ale wieść o gniewie, Wać Pana Dobrodzieia, — ale przytomność Jchmość Państwa Cześnikoſtwa, — (z *weſtchnieniem*) ich corki! —

STARUSZKIEWICZ.

Coż to Waſzeci obchodzi tak bardzo przytomność Państwa Cześnikoſtwa, — ich corki?

LEANDER.

Ah Mości Dobrodzieiu! bardziey niż wſzyſtko.-- Jedyny cel dalſzego moiego uſzczęśliwienia, zaſadzał ſię na łaſce rodzicow — na — pozyſkanie ſerca. —

STARUSZKIEWICZ.

Prawda, że to Panna pełna talentow y cnoty. Byłaby dla Waſzeci wcale dobra partya. Ale odmieniły ſię rzeczy. — Panie ſynowcze! poſażney Panny za chudego pachołka nie dadzą; — przed rokiem byłeś Waść Panem. —

LEANDER.

Jak to, Mości Dobrodzieiu! maiąż to pieniądze wchodzić do uſzczęśliwienia w obraniu ſtanu?

STARUSZKIEWICZ.

Panie młody! dobry ten ſentyment do romanſow. A ieżeli Waść o tym nie wieſz, nauczże ſię odemnie, że teraz bez pieniędzy, ani cnota, ani przymioty nie popłacaią. Zła miłość o głodzie. Rozumieſz Waſzeć?

LEANDER.

Ah rozumiem y nad to! — *(pada do nog)* Zmiłuy ſię nademną Wać Pan Dobrodziey! nie bierz mi reſzty nieſzczęśliwego życia, — oſzczędź przynaymniey moment oſtatniey konfuzyi. —

STARUSZKIEWICZ.

Coż mam uczynić?

LEANDER.

Odwlecz tę nieſzczęśliwą ſcenę, — pokazać w oczach gości twarz łaſkawą, — nakłonić Jchmość Państwo Cześnikoſtwo. —

STARUSZKIEWICZ.

O co to — to będzie ciężko, — a bardziey nie podobna. Ale przez oſtatek ieſzcze względu dla Waści, odłożę tradycyą do iutra, — ale pod tą kondycyą, żebyś ſię Waść na tym blankiecie podpiſał. —

(wyymuie blankiet)

LEANDER.

Chętnie przeſtanę na wſzyſtkim, ogołocę ſię z tego, co mieć mogę, bylem pozyſkał —

STARUSZKIEWICZ.

Podpiſzże ſię Waść.

LEANDER *podpiſuie blankiet.*

(na ſtronę)

Jeſzcze też tego moiemu nieſzczęściu brakło, żebym ſam moię zgubę własnym podpiſem ſtwierdził.

SCENA II.

Ciż sami KAPITAN.

KAPITAN *Leandrowi do ucha.*

A kie — kiedy z harma — matek palić?

LEANDER *z gniewem.*

Nigdy. —

KAPITAN.

Jak to — to — nigdy? —

LEANDER.

Idź Waść precz.

(Kapitan odchodzi.)

SCENA III.

STARUSZKIEWICZ, LEANDER.

STARUSZKIEWICZ.

Coż to za Oficer z Waścią teraz gadał?

LEANDER.

Jeſt to Mości Dobrodzie — Mości Dobrodzieiu —

STARUSZKIEWICZ.

Ktoż to ieſt?

LEANDER.

Jeſt to — Jeſt to — moy znaiomy. —

STARUSZKIEWICZ.

Zkąd to Waść tych znaiomości pozabierał? A ci żołnierze, co przy bramie y w ſieniach — y ci znaiomi?

LEANDER.

Ale bo to — to mi — to na ten bal Pan — ten — o zapomniałem. —

STARUSZKIEWICZ.

Coż to? to iuż to Waść y pamięć ſtracił? wſtydź ſię Waść przyczyniać

ieſzcze kłamſtwo do marnotrawſtwa. Y ten Kapitan, y ci żołnierze Waścinego werbunku. Prożno ſię Waść przedemną taiſz. Wiem ia o wſzyſtkim. — Nie mam dzieci. — Znaydę dalſzych imiennikow.—

LEANDER.

Poddaię ſię zupełnie pod ſtryiowſką decyzyą; dalſzy ſpoſob życia moiego pokaże, czym ieſzcze godzien łaſkawych względow.—

STARUSZKIEWICZ.

Idź Waść do gości, — ia ſię tu ieſzcze zoſtanę. —

SCENA IV.

STARUSZKIEWICZ *ſam.*

Zal mi go, — ale trzeba Pana młodego nauczyć. — Oy biedni ſtarſi! co to

to was ſzaleńſtwo młodych koſztuie! Fraſzki ſtrata dobrego mienia. — Cięższy bol, — widzieć dobre ſkłonności ſkażone złym towarzyſtwem, kilkunaſtoletnią pracą naſzą w momencie ſpełzną. Oy młodzi — młodzi! — gdybyście mogli czuć nieznośną boleść, ktorą waſzemi nieprawemi poſtępki zadaiecie rodzicom y krewnym waſzym, ieżeli nie przez rozum, — przez kompasyą powinnibyście poprzeſtać waſzego ſzaleńſtwa. — Ale widzę nadchodzi Pan Cześnik. —

SCENA V.

STARUSZKIEWICZ, CZESNIK.

CZESNIK.

Coż tam, kochany przyiacielu?

STARUSZKIEWICZ.

Coż czynić? — A ieſt tam w kompanii moy Pan ſynowiec?

CZESNIK.

Przyſzedł nie dawno, ale tak zmieniony, pomieſzany, iż mi go było niezmiernie żal. — Chciał to niby udawać weſołego, — ale ſię przezwyciężyć nie może. Uśmiechał ſię — gadaiąc z moią corką, — a łzy mu w oczach ſtoią. Y ona niebożątko, patrzaiąc na niego, ledwo ſię nie rozpłakała. —

STARUSZKIEWICZ.

A goście?

CZESNIK.

Pani Skarbnikowa z Podwoiewodziną dziwaczą, — mężom ſię pić chce, a wina nie daią. W domu iakieś nadzwyczayne pomieſzanie. Leander krzepi ſię iak może, a pokoiowi wſzyſtko mu coś do ucha ſzepcą. — A on raz bladnieie, drugi raz czerwony iak karmazyn. — Podźmy tam do nich. —

STARUSZKIEWICZ.

Dobrze, — ale nam ieſzcze potrzeba wſtąpić pierwey do Bartłomieia.

SCENA VI.

Reprezentuie ſalę kompanii.

PANI CZESNIKOWA, CZESNIKOWNA, SKARBNIKOWA, PODWOIEWODZINA, LEANDER, PODWOIEWODZY, SKARBNIK.

(Kozaczek gra na bandurze)

CZESNIKOWA.

Krzywdę mu Wać Panie czynicie. — Trzeba to czaſem wybaczyć młodości. —

SKARBNIKOWA.

Uchoway Panie Boże! żebym ia miała kogo obmawiać. — Ale ſpytay

ſię Wać Pani, kogo chceſz. Każdy powie, iż Pan Leander ieſt marnotrawca, człowiek letki, płochy, a co więkſza grubiian y brutal.

PODWOIEWODZINA.

Wieſz to Wać Pani, że, kiedyśmy tu przyiechały, ciężko było Jegomości ukłonić ſię, a wyniść przeciwko nam, było to przeciw honorowi Jegomości, Jegomości, co iego oyciec od mego ſtryia trzymał arędą wieś pod Berdyczowem.

CZESNIKOWA.

Moie Panie! — iużem pierwey powiedziała, że trzeba młodości wybaczyć. Upewniam, że, ieśli wykroczył, lekkość to —

SKARBNIKIKOWA.

Piękna to letkość, źle gości w dom przyiąć!

PODWOIEWODZINA.

Y nie wyniść na ganek!

SKARBNIKOWA.

Jegomość — coby powinien pamiętać, iż oyczym mego wuia był Kaſztelanem krzesłowym.

PODWOIEWODZINA.

Na co to taić. Wać Pani wieſz, że iego babka była z Niemiec.

SKARBNIKOWA.

A iego ſtryy Pan Staruſzkiewicz był Plenipotentem.

CZESNIKOWA.

Y coż to ma być złego, że iego babka była z Niemiec, że iego oyciec trzymał wieś arędą, że iego ſtryy był Plenipotentem. Tacy dobrzy ſą ſzlachta w Niemczech iako y w Polſzcze; wieś arędą trzymać nie ſzpeci ſzlachci-

ca; a żeśmy nie wszyscy Panowie, lubo rowni; częstokroć ten iest Plenipotentem, ktorego oyciec miewał Plenipotentow. —

Nie godzi się, moie Panie! nikomu ubostwa wymawiać, często szacownieysze dla cnoty, niż bogactwo przy niepoczciwości. —

SKARBNIKOWA.

Patrzayno Wać Pani, iak się do Panny Cześnikowny przybliżył, y z nią gada. —

CZESNIKOWA.

Coż ztąd, że w przytomności rodzicow y uczciwego towarzystwa kawaler z damą rozmawia? lepiey to, moie Panie! niż pokątne szepty. —

PODWOIEWODZINA.

Wolno każdemu czynić, iak się podoba, kiedy się iednak starał o mnie

moy Jegomość, gdyby się był o trzy kroki przysunął, zapewnie byłby mu był nieboszczyk moy oyciec rękę uciął. — Wiesz to Wać Pani, że mnie tylko raz widział przed naszym ślubem, y to ieszcze za kotarą. —

CZESNIKOWA.

Tym gorzey, moia Pani! że za kotarą. Ale ia nie chcę się nad tym rozwodzić, co do mnie nie należy. Moiey corce starałam się dać taką edukacyą, iaka mi się zdała być nayprzyzwoitsza. — Mogłam zbłądzić. — ale --

SCENA VII.

Ciż sami, POGROMSKI *piiany*.

POGROMSKI.

Y wesoło, — y ochoczo, — y pięknie, y suto, — Panie Dobrodzieiu! — Ale Jeymość Pani Cześnikowa, —

Jeymość Panna Cześnikowna. — A ha — Upadam, — adoruię godności, — powinſzowania. — Solennizacyi Patrona Swiętego. Ey zapomniałem — oracyi — A godziłoby ſię Panie Dobrodzieiu — za zdrowie.

LEANDER *Pogromſkiemu do ucha.*

Potym ſię napiiemy, — iużem proponował kielich, ale Jegomość Pan Skarbnik — trochę ſłaby, — a Jegomość Pan Podwoiewodzy — pić nie chce. —

POGROMSKI.

Kto ? — iak to ? — pić nie chce ? — za Pańſkie zdrowie! Mości kochany Podwoiewodzy ! a takaż — to ? —

LEANDER *do ucha Pogromſkiemu.*

Ale proſzę Wać Pana nie wspominay o kielichu, — mam tego racyą.

POGROMSKI.

Coż za racya. — Choćby mi Krol Francuzki — nie kazał, — iabym go nie uſłuchał. Jak to nie pić za Pańſkie zdrowie, za zdrowie Solennizanta — proſzę o kielich.

SKARBNIK, PODWOIEWODZY.

Zgoda — Zgoda. —

POGROMSKI.

Duſzkiem — pełno. —

SCENA OSTATNIA.

Ciż ſami, STARUSZKIEWICZ, CZESNIK.

STARUSZKIEWICZ.

Lubo nie proſzony na te gody, ſtawiłem ſię, Mości Panie ſynowcze!

LEANDER.

Exces to łaſki Wać Pana Dobrodzieia.

STARUSZKIEWICZ.

Proſzę mi nie przeſzkadzać. Ci wſzyſcy Jchmość, ktorzy tu ſą zgromadzeni, a oſobliwie Jegomość Pan Cześnik, ſą to dawni przyiaciele moi. Nie będą więc mieli za złe, — ieżeli —

LEANDER.

Ale Mości Dobrodzieiu!

STARUSZKIEWICZ.

Iużem dawniey powiedział, że mi proſzę nie przeſzkadzać. O com więc proſił iak gość, rozkazuię teraz, iako ſtryy y opiekun. —

Zoſtałeś ſię Waść po śmierci rodzicow w wieku niemowlęcym. Prawem natury, kompasyą y wrodzoną miłością wzbudzony, wziąłem w adminiſtracyą maiętność, w opiekę oſobę Waścinę. Pan Bog ieſt świadkiem troſkow, prac, zabiegow moich. By-

ły mi znośne nadzieie, że ſię moia praca ſtokrotnie nadgrodzi. — Uprzedziłem czas wypuſzczenia z opieki; oddałem maiętność. — Obiąłeś Waść rząd, y miałem racyą być kontent z tego, com zrazu widział. Jaki był koniec tak pięknych początkow, — wiedzą wſzyſcy, — a zal, ktory mnie rozrzewnia, — nie pozwala ſię rozſzerzać. — Używam więc moiego prawa, a chcąc w imieniu przynaymniey utrzymać to, coś Waść utracił, — na fundamencie właſnego Waścinego podpiſu, — ktory produkuię. — (*wyymuie ſkrypt*)

LEANDER *do nog.*

Ah Mości Dobrodzieiu! przeſtałem na wſzyſtkim, przyrzekłeś mi Wać Pan Dobrodziey.

STARUSZKIEWICZ.

Mowiłem, żeby mi nie przeſzkadzać. — Na fundamencie więc właſne-

go podpifu, profzę Wać Pana nayprzod, Mości Panie Cześniku, y Wafz Mość Panow, Mości Panie Skarbniku y Podwoiewodzy, żebyście ten fkrypt, iuż od Jegomości podpifany, raczyli fwoiemi podpify ztwierdzić.

LEANDER *na ftronie.*

Ah ia niefzczęśliwy! —

CZESNIK, SKARBNIK, PODWOIEWODZY, *podpifuią.*

STARUSZKIEWICZ.

Nie godzi fię łatwości tey w podpifaniu łafkawych przyiacioł na złe używać. Trzeba, żeby wiedzieli, co podpifali; Mości Panie fynowcze!

LEANDER.

Ah Mości Dobrodzieiu! gdzież pamięć na przyrzeczenie? —

STARUSZKIEWICZ.

Żądam tego po afekcie twoim, Panie fynowcze! żebyś mi w tym nie przeczył.

LEANDER.

Czegożbym dla Wać Pana Dobrodzieia nie uczynił! ale pamiętay Wać Pan Ddobrodziey, że mi ta ofiara odbierze życie.

STARUSZKIEWICZ.

Ofiary uczynione dla ftarfzych Pan Bog błogofławi. — Czytay Waść fam.

LEANDER *z przeftrachem.*

Ja fam?

STARUSZKIEWICZ.

Tak ieft, Waść fam. Wymagam to, iak znak oftatni wdzięczności za wfzyftkie moie ftarania y prace.

LEANDER.

Prawda, że powinna być nieſkonczona. — Niech zginę: — daway Wać Pan. — (*bierze ſkrypt zaczyna czytać*) Między Jegomość Panem Staruſzkiewiczem ſtryiem, a Leandrem ſynowcem iego — (*zatrzymuie ſię y wzdycha*) — z iedney ſtrony, a Wielm: N. Cześnikiem y małżonką iego, iako rodzicami — ſtała ſię ninieyſza tranzakcya, umowienie y — intercyza. — (*rzuca papier, pada do nog ſtryia*)

Ah! naylepſzy z ſtryiow — z ludzi! — radość, — pomieſzanie, — wdzięczność, — łzy moie!

STARUSZKIEWICZ.

Wſtań, kochany ſynowcze! a tę wdzięczność oświadcz rodzicom, oświadcz godney corce, ktorzy mimo zdrożności twoie, raczyli — (*Leander pada do nog Cześnik.*)

STARUSZKIEWICZ.

Ten ſkrypt, ktoryś mienił być zgubą, ieſt teraz rękoymią twoiego ſzczęścia. Znaydzieſz w nim po moiey śmierci zapis dobr moich wſzyſtkich. — Używay ſzczęśliwie, — iuż więcey wymowek nie uſłyſzyſz. Jeżeli były przykre kroki, ktorem uczynił, wyprobowały cnotę twoią. — Karał cię z żalem ſtryy, co cię kocha. Zyycie ſzczęśliwie, kochane dzieci! —

CZESNIK.

Nie trzeba o młodych roſpaczać, ale też trzeba ich umieć poprawiać.

KONIEC.

OMYŁKI w DRUKU.

Karta 72. wierſz 4. od ſpodu, ieſt ſłowo przecie, *czytay* przyięcie.